

1

Niebieska

Nazywały się Etu i Zu. Tego był pewien.

Tym razem nie chowały się za szafą ani za firanką, tylko przykucnęły pod biurkiem. Gdy poruszył stopą pod kołdrą, podskoczyły i uderzyły głowami w blat. Niezbyt mocno. Nawet nie pisnęły. Jak zawsze, były cichutkie. Przycupnięte. Bezszelestne. Jedyne, co mógł o nich powiedzieć, to że kiedy budził się w nocy, już na niego czekały. Chociaż nie zawsze. Przeważnie wtedy, gdy następnego dnia miał bardzo ważną klasówkę. Albo gdy poprzedniego wieczoru rodzice rozmawiali ze sobą podniesionymi głosami lub przeciwnie — milczeli, bo byli na siebie obrażeni. Tak jak wczoraj.

Etu i Zu też milczały. Ale Filip wiedział, że umieją mówić — i kiedyś w końcu się do niego odezwą. Na pewno. Kiedy przyjdzie na to pora.

Lubił te stworki i zawsze trochę na nie czekał.

W półmroku nie widział ich wyraźnie, więc próbował sobie wyobrazić, jak wyglądają. Przypominały małpki. I surykatki. I skrzaty.

Przyszły w nocy, a teraz był dzień. Filip siedział na łóżku i przeglądał *Tytusa*.

— Pojedziesz do cioci Agnieszki — usłyszał głos mamy. — Zawieziesz jej trochę ciuchów. Ja ich już nie noszę, a ciocia chciała coś do pracy w ogrodzie. Filip! Synku! Słyszysz?

Mama wołała z kuchni, ale jemu się wydawało, że on jest na bezludnej wyspie, a mama dryfuje daleko, bardzo daleko — na tratwie. A ponieważ dzieliły ich setki fali, jednostajny szum morza i podmuchy silnego wiatru, nie rozumiał ani słowa.

Mama i tratwa stały się coraz mniejsze i mniejsze, i mniejsze...

To się już zdarzało. Wiele razy. W środku nocy otwierał oczy i od razu wiedział, że jest na bezludnej wyspie. A dookoła — zamiast podłogi i mebli — była tylko woda. Ogromna, czarna i głęboka. Ocean po prostu.

— Filip! Zbieraj się.

Kątem oka dostrzegł jakąś postać o pół kroku od swojego łóżka. Mama? Na jego bezludnej wyspie? Jak to?

— A dokąd mam iść? — zapytał, podnosząc głowę znad komiksu.

— Nie słyszałeś, tak?

— Tak. Nie.

— Do cioci Agnieszki. Zawieziesz jej te rzeczy. — Mama rzucała na łóżko wypchaną reklamówkę. — Tylko masz być z powrotem na kolację. Czyli najpóźniej o ósmej. Naj-póź-niej. Słyszysz?

— Słyszę.

— Na pewno słyszysz?

— Na pewno. O ósmej.

— Oj, Filipku, Filipku... — Mama pokręciła głową.

Filip westchnął. Nie lubił tego zdrobnienia. A poza tym nie chciało mu się rozstawać na dwie godziny z *Tytusem* i miękkim łóżkiem.

— A tata nie mógłby tego zawieźć samochodem? — zaryzykował pytanie, choć z góry znał odpowiedź.

Mama szybko się odwróciła i ruszyła w stronę drzwi, rzucając półgłosem, jakby do siebie:

— Tata nie mógłby.

No tak. Przecież tata ciągle, ale to ciągle był w pracy.

Filipa jednak za każdym razem to dziwiło, więc zawsze mówił:

— Ale przecież jest już szósta.

(Albo siódma, ósma, dziewiąta lub dziesiąta, w zależności od tego, o której godzinie tata jeszcze był w pracy).

A mama nigdy nie odpowiadała na jego zdziwienie ani słowem.

Filip wskoczył w adidas (żadne firmowe, zwykłe podróbki) i wyprowadził z przedpokoju rower (taaaki tam, nic specjalnego, górski, ale bez bajerów, zresztą czteroletni i z hipermarketu). Zawiesił reklamówkę na kierownicy, zawołał: „Cześć!” — i już był za drzwiami.

Za drzwiami mieszkania na dziesiątym piętrze dziesięciopiętrowego bloku.

Bloku, który stał na pozbawionym drzew i ławek osiedlu Cztery Wiatry.

Na osiedlu, skąd do centrum jechało się czterdzieści minut autobusem (w godzinach szczytu), a do cioci Agnieszki — tylko dwadzieścia minut rowerem (o każdej porze dnia).

Lubił tę ciocię. Nie narzekała, że nie założył szalika albo czapki, że nie posprzątał swojego pokoju, że za późno wrócił z podwórka albo że nie zjadł w szkole kanapki. Bo nie była jego mamą, tylko starszą siostrą jego mamy. Nie miała pojęcia, o której wracał z podwórka. Ani czy brał do szkoły kanapki. I rzadko widywała jego pokój — rodzice właściwie jej nie zapraszali. Sami też prawie u niej nie bywali. Nie wiedział dlaczego. Nie zastanawiał się nad tym. Tak było i już. Za to on odwiedzał ją bardzo często. Na przykład z takiego powodu jak dziś. I dlatego, że lubił.

Ciocia częstowała go ciastem, które piekla raz na tydzień — sernikiem albo szarlotką. I sokiem, który wyciskała z owoców rosnących w jej ogrodzie. Lubił ją też za to, że nie pytała: „Co tam w szkole?” ani nie wołała na jego widok: „Aleś ty wyrósł!”. Poza tym często się uśmiechała.

No i miała bardzo, bardzo fajnego i mądrego psa, Bodka, prawie golden retrievera, który był łagodny jak owieczka. Uwielbiał dzieci i szaleńczo cieszył się na widok gości. A szczególnie — na widok Filipa. Wyglądał wtedy jak kłębek szczęścia.

Bodek umiał wszystko, co psy powinny umieć, a nawet trochę więcej. Znał nazwy swoich ośmiu zabawek, aportował, chodził przy nodze, prawidłowo reagował na: „Waruj!”, „Siad!”, „Leżeć!”, „Zostań!” i mnóstwo innych poleceń. Tylko że w domu cioci Agnieszki nikt tego od niego nie wymagał.

— Wystarczy mi świadomość, że on wszystko rozumie — mówiła ciocia, uśmiechając się tajemniczo. — Poza tym wiem, że kiedy go zawołam, zawsze do mnie przybiegnie, nawet z Alaski. Czego chcieć więcej?

Filip nie miał pojęcia, skąd ciocia wie, że Bodek przybiegłby z tak daleka. Pewne rzeczy chyba po prostu się wie. Na przykład to, że Etu i Zu mają na imię Etu i Zu.

I to wcale nie dlatego, że gdy Filip zobaczył je po raz pierwszy, głośno i wyraźnie powiedział, żeby uspokoić samego siebie:



— Eee, tu nikogo nie ma. Zupełnie nikogo.

Bodek przez trzy czwarte roku wylegiwał się na tarasie lub w ogrodzie na trawie. A pozostałą jedną czwartą spędzał na posłaniu w ciepłym kącie salonu, niedaleko kominka. Był bardzo szczęśliwym psem. Miał to wypisane na pysku i wyrażał to każdym machnięciem kudłatego ogona.

Właśnie zaczął się sierpień. Przyjemnie było jechać rowerem w pogodny dzień przez niemal wyludnione osiedle, potem jego obrzeżami i dalej. Dalej — czyli w lewo, w ulicę Marcepanową. I od razu znaleźć się w zupełnie innej bajce. A może nawet na innej planecie, która nie nazywała się osiedle Cztery Wiatry. Tu rzadko widywało się przechodniów i przejeżdżające samochody. Nie było też ani jednego dziesięciopiętrowego bloku. Za to w ogródkach stało mnóstwo ładnych, kolorowych, zupełnie nowych domów z dużymi balkonami i ogromnymi oknami. Żaden nie miał więcej niż trzy piętra.

Filip pomyślał, że ta planeta mogłaby się nazywać Dalej i Dalej. Bo super było znaleźć się gdzie indziej niż przed chwilą i wciąż jechać przed siebie, daleko.

Skręcił w następną cichą ulicę i przemknął wzdłuż zielonego ogrodu, za którym wznosił się ogromny budynek ze spadzistym dachem. Stary i otoczony wysokimi drzewami. Jego szkoła.

Ale w wakacje Filip nie zajmował się takimi sprawami jak szkoła. Ani trochę. Ani przez chwilę. Nawet gdy na nią patrzył, to jej nie widział. Tym bardziej że już był gdzie indziej — wjechał prosto do parku. A raczej na gigantyczny dywan z trawy i miliona kolorowych punkcików, na którym ludzie wydeptali ścieżki prowadzące w różnych kierunkach. Rosły tu bardzo stare drzewa o konarach tak powyginanych, jakby wiatr chciał na nich zawiązać supły i supełki.

Filip przyśpieszył. Po parku spacerowało tylko kilka osób, i to w oddali, więc nikt nie wchodził mu w drogę.

Śmignął, tak jak lubił. Jakby ścigał się sam ze sobą. Bo niby z kim innym miałby się ścigać? Wszyscy powyjeżdżali na wakacje. Nie licząc Pawła. Ale Paweł wolał teraz przyjaźnić się z Adrianem, czyli było tak, jakby Paweł też wyjechał.

„W czym Adrian jest ode mnie lepszy?” — Filip zadał sobie to pytanie chyba po raz sto trzydziesty siódmy w ciągu tego lata.

I odpowiedział sobie dokładnie tak samo, jak odpowiadał do tej pory:

„W niczym nie jest lepszy.

We wszystkim jest lepszy.

Nieprawda, w niczym.

No tak, we wszystkim...”.